

„Mrówka pana Boga”. Jubileusz literacki Marii Marjańskiej-Czernik

Iwona Smolka: W imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Domu Kultury Śródmieście witam państwa na jubileuszu literackim Marii Marjańskiej-Czernik. 31 marca można było składać jej życzenia, więc nie jesteśmy tak bardzo spóźnieni. Majeczko, wszystkiego najlepszego. Laudację wygłosi pani profesor Joanna Papuzińska, utwory i przekłady jubilatki czytać będzie pan Andrzej Ferenc. Tytułem wstępu powiem tylko, że Maria Marjańska-Czernik urodziła się w Warszawie jako córka poetki Ludmiły Marjańskiej, którą wszyscy bardzo, bardzo kochaliśmy. Majka jest bardzo podobna do swojej mamy zarówno w stylu bycia, jak i w otwartości na innych. Trudno zapomnieć sposób, w jaki Ludmiła potrafiła zgromadzić wokół siebie tłum dzieci i czarować je przez godzinę albo i więcej. Były to cudowne, wspaniałe spotkania. Myślę, że Maria Marjańska-Czernik umie tak samo zafascynować dzieci, dając im swoje książki, które są bardzo mądre i piękne. Maria Marjańska-Czernik ukończyła bohemistykę, pracowała w Programie III Polskiego Radia i w wielu pismach – „Misiu”, „Płomyku”, „Płomyczku”, miesięczniku „Twoje Dziecko” i „Guliwerze”. Była to intensywna, wymagająca niezwykłego zapatu, praca. Obecnie Majka jest redaktorem dwóch portali internetowych noszących nazwy „EgoDziecka” i „Qlturka.pl – dziecko i kultura”.

Maria Marjańska-Czernik: Oba portale prowadzi moja córka. Ja redaguję tam tylko teksty i czasem coś piszę. Nasza współpraca pokazuje, jak zainteresowanie literaturą przechodzi z pokolenia na pokolenie. Niektóre moje wnuczki już wymyślają świetne scenariusze.

Iwona Smolka: Majka była też koordynatorem grupy eksperckiej, która tworzyła kanon książek dla dzieci i młodzieży, oraz prezesem Fundacji „Książka dla Dziecka”.

Maria Marjańska-Czernik: Niestety ta fundacja już nie istnieje. Jej najważniejszym osiągnięciem było to, że umożliwiła ona wydawanie „Guliwera”.

Iwona Smolka: Poza tym, że Maria Marjańska-Czernik pisze utwory dla dzieci – na przykład *Nic*, które wzbudziło mój prawdziwy zachwyt – przetłumaczyła ponad dwadzieścia książek z języków czeskiego i słowackiego. Nie są to ot takie sobie tłumaczenia, to przekłady żywe i twórcze, a wybrane teksty okazują się zawsze niezwykle ważne. Myślę tutaj na przykład o *Cukierku dla dziadka Todka* Ivony Březinovej. Szkoda, że w literaturze polskiej nikt się nie pokusił o to, żeby napisać książkę o starości, sklerozie, Alzheimerze i życiu z dzieckiem w wielopokoleniowej rodzinie w domu, w którym bywa bardzo trudno, a jednak życie układa się w jakiś sposób i chwilami okazuje się naprawdę zabawne. To bardzo mądry tekst. Maju, myślę, że książki, które przetłumaczyłaś, są właśnie z jednej strony dowcipne, czasami też surrealistyczne – na przykład *Noga w nogę*

Dezidera Tõtha i Viliama Klimačka – z drugiej zaś pokazują bez moralizowania złożoność świata i życia w nim. Oprócz talentu do tłumaczeń, redakcji, pracy z literaturą i dla literatury, Majka posiada jeszcze jedną ogromną zaletę. Wie, że jeżeli robi się coś dla kogoś, to robi się coś bardzo ważnego. Ponadto potrafi gromadzić ludzi wokół siebie i zachęcić ich do realizacji wspólnego celu. Za to jesteśmy ci, Maju, wszyscy bardzo wdzięczni.

Zamieściłaś w *Wyspie* wspomnienie o tym, jak to było, kiedy twoja mama pojechała na długie stypendium do Stanów Zjednoczonych, a ojciec do pracy do Niemiec. Ty i twój brat zostaliście oddani do internatu.

Maria Marjańska-Czernik: Tak było.

Iwona Smolka: Czy to właśnie z tego okresu spędzonego internacie i związanego z nim poczucia opuszczenia wyrosła potem książka *Wypożyczalnia babć*?

Maria Marjańska-Czernik: Wtedy o tym chyba kompletnie nie myślałam. A sytuacja była zabawna, bo kiedy okazało się, że mama na czwartym roku studiów dostała stypendium do Stanów Zjednoczonych, to ojciec bardzo szybko załatwił sobie kontrakt w biurze projektów w Niemczech i jeszcze zanim mama wyjechała, jego już nie było. To taka anegdotka rodzinna. Bał się pewnie sam opiekować się nami, bo ja miałam wtedy 13 lat, a mój brat 10. W internacie przebywaliśmy wśród rówieśników. Był to jak na tamte czasy wyjątkowo ekskluzywny internat, bo należał do MSZ. W tym miejscu mieszkały dzieci, które miały rodziców na placówkach dyplomatycznych. Jednak pomysł na *Wypożyczalnię babć* powstał później, kiedy mama była już w złym stanie i chorowała. Powtarzała wtedy, że bardzo chciałaby napisać książkę dla dzieci. Ja miałam już wtedy wnuczkę i wnuka. Mama powiedziała: „Wiesz co, przydałaby się nam babcia do wypożyczenia, bo ja już nie mam siły, a tamta druga jest za daleko”. Oddając mamie całą sprawiedliwość, mogę powiedzieć, że tytuł i zarys książki powstały w trakcie naszych rozmów. Nie napisała niestety tej książki, zrobiłam to ja i dedykowałam ją mamie.

Iwona Smolka: Proszę pana Andrzeja Ferenc'a o przeczytanie fragmentu tekstu *Ameryka mojej Mamy* z kwartalnika literackiego *Wyspa*, z 2008 roku.

Andrzej Ferenc:

„Kiedy czytam teraz maszynopis *Zapisków amerykańskich*, czuję intensywny, słodki zapach gumy do żucia. Tak pachniały wszystkie rzeczy w paczkach, które przychodziły od Mamy. Niezależnie od tego, czy był to pomarańczowy sweterek nazywany »angorą«, list czy fotografie. To dla mnie do dziś – choć minęło prawie pół wieku – zapach Ameryki.

Mama po raz pierwszy wyjechała do Stanów w 1960 roku. Na stypendium po trzecim roku anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Miałam wówczas trzynaście lat, a mój brat dziesięć. Widać z tego, że była »późną« studentką. Kiedy się pobierali tuż po wojnie, uzgodnili z mężem, że najpierw on zdobędzie wykształcenie, a potem, po odchowaniu dzieci, Ona. Rozpoczynając studia, miała już za sobą debiut poetycki i translatorski, znała dobrze angielski i niemiecki.

Nasz ojciec, architekt, usłyszawszy, że ma w perspektywie prawie roczny pobyt sam na sam z dziećmi, załatwił sobie szybko staż w Stuttgarcie, w niemieckim biurze projektów. I wyjechał za granicę jeszcze przed Mamą. Nie było wyjścia – znaleźliśmy się z bratem w internacie MSZ, gdzie przebywały dzieci pracowników dyplomatycznych. Jedyną osobą, która miała prawo odbierać nas stamtąd na weekendy była cioteczna siostra ojca – ona wówczas, poza państwem, sprawowała nad nami opiekę.

Nie wspominam źle tego czasu spędzonego w internacie. Nie ukrywam, że nie było nam łatwo, o czym Mama wiedziała i martwiła się o nas. Pisała do nas bardzo często, przysyłała paczki. Zachowała nawet wiele z tych listów, które niedawno w kartonach z Jej rzeczami odkryłam. Ich lektura przypominała mi wiele wydarzeń zatartych już w pamięci, a także uświadomiła, że dla niej to była trudna decyzja, a jednocześnie wielka szansa.

W *Zapiskach* wspomina to tak: »(...) nie było to takie proste. Był rok 1960, miałam 37 lat, rodzinę, którą zostawiłam w kraju, żeby – dzięki jednemu z pierwszych stypendiów amerykańskich – po raz pierwszy w życiu wyruszyć na koniec świata. Radość z nieoczekiwanych możliwości łączyła się z niedowierzaniem i obawą przed obcością. Mam być studentką, mieszkać w akademiku wśród młodziutkich studentek amerykańskich? Nie dość, że cudzoziemka, to jeszcze o tyle od nich starsza, obciążona wojennymi doświadczeniami, polskimi kompleksami i rodziną, za którą już tęskniłam. (...) Poczucie nierzeczywistości towarzyszyło mi jeszcze długo, zwłaszcza że znalazłam się w tak innym świecie. Nawet nie potrafiłam się tym cieszyć. Obca ziemia obiecywała mi mnóstwo nowych wrażeń i przeżyć, spodziewałam się, że i ja od razu stanę się kimś innym, dostosowanym do nowego miejsca. Przekonałam się jednak na własnej skórze, że każdy nosi na grzbiecie swój dom, jak ślimak skorupę. Dręczyła mnie nostalgia. Długo trwało, zanim zaczęłam cieszyć się tym дарowanym od losu studenckim życiem«.

Studia na Uniwersytecie stanu Washington w Seattle to jednak było coś. Poznała lepiej język, poetów, których wiersze później przekładała, np. Theodore'a Roethkego, odkryła poezję Emily Dickinson, która ją na całe życie zafascynowała. A co najważniejsze, zebrała materiały i napisała pracę magisterską o współczesnej poezji amerykańskiej.

Później jeździła do Stanów jeszcze kilkakrotnie, także z wykładami, gdzie goszczono ją jako znawczynię poezji amerykańskiej. Do Warszawy przyjeżdżali znajomi z wielkiej wody, na przykład opiekująca się nią podczas pierwszego pobytu Lois Smith.

Wracła do Polski transatlantykiem Batory. Zachowała w swych papierach książeczkę *List of passengers M. V. Batory Gdynia America Line* z 11 lipca 1961, która prócz listy pasażerów i załogi zawiera podstawowe informacje dla podróżujących. M.S. Batory płynął z Montrealu do Leningradu przez Kopenhagę i Gdynię. Nie miałam wówczas pojęcia, że będzie pływał jeszcze tylko 10 lat, że nazywano go Lucky Ship, że w czasie swojej 34-letniej służby pod polską banderą dokonał 222 regularnych rejsów: początkowo na linii nowojorskiej, potem na linii indyjskiej i na koniec na linii montrealskiej, przewożąc setki tysięcy pasażerów i odwiedzając ponad 150 portów na wszystkich kontynentach. Podczas wojny, jako transportowiec, przewoził żołnierzy. Podczas rejsu ze Szkocji

do Kanady na pokładzie Batorego w lipcu 1940 roku przetransportowano do bezpiecznego zdeponowania w Ottawie skarby wawelskie, Biblię Gutenberga z Pelplina oraz wiele innych zabytkowych przedmiotów.

Dla mnie był to po prostu statek, którym wracała moja Mama. Czekaliśmy na nią z tatą, bratem i Mamy przyjaciółmi w gdyńskim porcie z aparatem fotograficznym w ręku, z przejęciem obserwując zbliżanie się kolosa do nabrzeża.

A jeśli chodzi o ten słodki zapach... Nie czułam go, gdy dziesięć lat temu sama odwiedziłam Stany. Bo jest to zapach tamtej Ameryki, w której przebywała moja Mama. Odżył we wspomnieniach”.

Iwona Smolka: Naprawdę się wzruszyłam.

Maria Marjańska-Czernik: Nie pamiętałam dokładnie, że tam to wszystko opisałam.

Iwona Smolka: Tak to bywa z autorami, którzy nie przywiązują większej wagi do tego, co napisali. Bardzo często w tych książkach, które tłumaczysz i które sama piszesz, pojawiają się z jednej strony pragnienia podróży, poznawania świata, a z drugiej potrzeba osadzenia w miejscu i czyjeś bliskości. To zgadzałoby się z tym, co napisałaś we wspomnieniu. Skąd się wzięło to pragnienie podróżowania?

Maria Marjańska-Czernik: Myślę, że je odziedziczyłam po mamie. Zawsze lubiła jeździć. Ja swoje pierwsze podróże zagraniczne odbywałam przypadkiem albo z obowiązku, kiedy na przykład mój mąż był przez rok w Iraku na kontrakcie, potem w Grecji. To były takie wypadki wymuszone okolicznościami. W tej chwili podróżuję dla przyjemności. Kiedyś z każdego wyjazdu powstawały krótkie wspomnienia, reportaże. Było to więc połączenie przyjemnego z pożytecznym, bo zawsze coś ciekawego było do opisanego.

Iwona Smolka: Powiedz mi, czym się zajmuje Polska Sekcja IBBY. Co to takiego?

Maria Marjańska-Czernik: To międzynarodowe Stowarzyszenie Przyjaciół Książki dla Młodych, które zrzesza siedemdziesiąt trzy sekcje narodowe. Podczas kongresów co dwa lata wręczane są nagrody związane z literaturą dla dzieci, również nagrody dla ilustratorów. Najważniejsza jest ta, która nazywa się Mały Nobel.

Iwona Smolka: Proszę panią profesor Joannę Papuzińską o wygłoszenie laudacji.

Joanna Papuzińska: Maria Marjańska-Czernik posiada talent literacki połączony z talentem organizacyjnym. Muszę powiedzieć, że chociaż formalnie redaktorem „Guliwera” byłam ja, to faktyczną duszą tego pisma była Majka. Zanim ona nie wzięła się do roboty, zazwyczaj kończyło się na planach. Co kilka lat zbierało się grono entuzjastów, którzy mówili, że koniecznie trzeba zrobić czasopismo o literaturze dziecięcej, bo w całej Europie są już takie pisma, a w Polsce ciągle ich brak. W trakcie omawiania tych inicjatyw zostało opróżnionych wiele butelek wina. Zaczęło się to bodajże po październiku 1956 roku od petycji, którą zainicjowała pani Irena Jurgielewiczowa. Ale być może takie plany powstawały już wcześniej. Po każdym politycznym poluzowaniu śruby, ktoś wpadał na pomysł, żeby założyć pismo dla dzieci. Sytuacja się powtarzała, dopóki nie zjawiła się Majka. Okazała się ona osobą, która wprowadziła to wszystko w czyn. Dzięki niej ukazał się wreszcie pierwszy numer „Guliwera”, który – jak pamiętam – był drukowany

w pralni. Pan, który zajmował się tym, jednocześnie prowadził restaurację w Domu Literatury. Opublikowanie pierwszego numeru jest stosunkowo łatwe. Znam wiele redakcji, które kończyły działalność właśnie na jednym lub na kilku numerach. Oprócz kwestii finansowych decydowały o tym także siły odśrodkowe – im więcej w zespole indywidualności, tym szybciej redakcja się rozpada. U nas osobą scalającą zespół była Majka. Nie wiem, jak to robiła, że udawało jej się utrzymać wszystko w garści bez najmniejszego despotyzmu. Nie chcę długo rozwodzić się nad „Guliwerem”, chociaż mogłabym. W każdym razie chcę powiedzieć, że kiedy Majka – po różnych perypetiach związanych z wydawaniem tego czasopisma – straciła już chęć, możliwość lub wiarę w robienie go, to jednocześnie skończył się też i ten stary „Guliwer”. Wprawdzie – dzięki bohaterstwu zrywowi obecnej tu Liliany Bardijewskiej – czasopismo zostało przeniesione do Biblioteki Śląskiej i zachowało tytuł, jednak jest to w tej chwili periodyk o zmienionej tożsamości. Majka nauczyła nas, że jeśli chce się coś robić, to przede wszystkim trzeba zacząć. Majka nie tylko sama nadała tryby organizacyjne temu ruszeniu pisma z posad, ale i nas potrafiła nakłonić do działania. To jest dla mnie największą tajemnicą Majki, jak ta cicha, spokojna osoba, która nigdy nie wyrwała się na eksponowane stanowiska, tak świetnie potrafiła zarządzać zespołem. Potem te umiejętności wykorzystywała jako prezes Polskiej Sekcji IBBY. Moja babcia mówiła o takich ludziach, że są mrówkami pana Boga, ponieważ zostali obdarzeni szczególnym darem organizowania wokół siebie „mrowiska”. Może Majka będzie jeszcze miała fantazję albo kaprys i napisze o swoich latach w „Guliwerze”. Wtedy dowiemy się jakichś zaskakujących i ciekawych rzeczy. Muszę jednak powiedzieć, że – ku naszemu rozczarowaniu – Majka nie napisała zbyt wielu tekstów do „Guliwera”. Raczej wzbraniała się przed tym, chociaż często była niemal błagana na kolanach. Sięgała po pióro tylko wtedy, kiedy się okazywało, że jakiś temat trzeba koniecznie zrealizować.

Maria Marjańska-Czernik: Joasia wynosi mnie tu na piedestał, ale wiadomo, że to była jej zasługa, bo to ona – kiedy już miałam Fundację „Książka dla Dziecka” i przymierzałam się do wydawania „Guliwera” – zgromadziła wokół przedsięwzięcia najsłynniejszych znawców literatury dziecięcej, z którymi później budowała je merytorycznie. Początki były przecież takie, że pierwsze numery ukazały się w subskrypcji – zbieraliśmy pieniądze na wydanie, bo ministerstwo powiedziało, że być może dofinansuje czasopismo, ale wcześniej musi zobaczyć, czym ono jest. Żeby zdobyć fundusze, urządzaliśmy na placu Zamkowym w Warszawie kiermasze, woziliśmy na nie własnymi samochodami tony książek. Pomagały nam wtedy panie Anna Nehrebecka i Kalina Jędrusik, które zachęcały ludzi do kupowania tych tomów, przekonując, że pieniądze zostaną przeznaczone na szczytny cel. Podzielmy więc pochwały sprawiedliwie – ja byłam odpowiedzialna za sprawy techniczne.

Joanna Papużyńska: Nie, Majeczko, ty to wszystko zainicjowałaś i zorganizowałaś. Powtórzę to, co już powiedziałam: doceniam ogromne zasługi mojego dębowego stołu, przy którym różne tęgie głowy zbierały się przez lata, ale my przy nim tylko rozmawialiśmy o tym, jak dobrze byłoby otworzyć czasopismo, jak ładnie by wyglądało,

gdybyśmy je zrobili, jakie ciekawe materiały znalazłyby się w nim, kto by do niego pisał. Mieliśmy wiele bardzo dobrych pomysłów, ale nic z tego nie wychodziło. Dopiero Majka wszystkich zmobilizowała. Natomiast w czasach „Guliwera” pisała mało, jej utwory powstawały raczej w czasach po „Guliwerze”.

Maria Marjańska-Czernik: Najpierw tłumaczyłam przez kilka lat...

Joanna Papuzińska: Pamiętam etap Krecika – ta bajka ukazywała się u nas w wersji komiksowej. Natomiast co do utworów własnych Majki, to pierwsze były chyba *Uszy*.

Maria Marjańska-Czernik: To właśnie między innymi z ich okazji jest ten jubileusz, *Uszy* ukazały się 40 lat temu.

Joanna Papuzińska: Następnie powstała *Wypożyczalnia babć*, która później została przerobiona na słuchowisko radiowe. A potem *Nic* – rzecz, która niesamowicie zaszokowała mnie swoją odmiennością od tego, co wcześniej znałam i czego się po Majce spodziewałam. To coś w rodzaju bajki filozoficznej, która kojarzy mi się z *Przygodami Pędrka Wyrzutka* Stefana Themersona. Z jednej strony zawiera się w niej filozofia życiowa, za drugiej zaś to popis fenomenalnej żonglerki pojęciami, regułami składni, wszystkimi elementami struktury języka. Piękna jest również szata graficzna tej książki. Zilustrowała ją Krystyna Lipka-Sztarbałto. Kiedy ostatnio czytałam *Nic* – bardzo często prezentuję ten tom studentom na zajęciach – przyszedł mi do głowy pomysł, że można by zrobić piękną książkę składającą się z opowiadań dla dzieci, które powstały mniej więcej w tym samym czasie, co wspomniany tekst Marii Marjańskiej-Czernik. Znalazłyby się w nim opowiadania Jana Kotta, między innymi o wnuczce, która poszła do dziadka do nieba, bo nie skończył jej czytać bajki na dobranoc. Takich znakomych tekstów znalazłoby się co najmniej kilkanaście. Na ich czele byłoby *Nic*. I może nawet cały zbiór nosiłby nazwę *Nic*. Albo *Coś z niczego*.

Iwona Smolka: W książce owo *NIC*, które jest bohaterem, zostało wydrukowane pogrubioną czcionką. Wszystkie „*nic*”, które występują w związkach frazeologicznych, są zaś wydrukowane na czerwono. W ten sposób otrzymaliśmy grę znaczeń. „*Nic*”, czyli coś, co nie istnieje; *Nic*”, którego nie ma i „*Nic*”, które wchodzi w różne związki frazeologiczne („*nic* więcej”, „*nic* a *nic* sobie z tego nie robiąc” i tak dalej), łącząc się z innymi wyrazami, staje się czymś konkretnym. „*Nic*” zaczyna istnieć. Potem „*nic*” spotyka kogoś i w ten sposób powstaje opowiadanie filozoficzne.

Andrzej Ferenc:

„Było sobie raz **NIC**. Wyglądało nijako, pewnie dlatego, że nie miało w ogóle ciała. Było to najprawdziwsze, wielkie **NIC**. Nie można go było ani opowiedzieć, ani narysować, ani sfotografować. Kiedy coś ma takie szczęście, że jest niczym, nie da się już nic z tym zrobić. Nikt nie wiedział, gdzie jest **NIC**, skoro **NIC** jest niewidzialne. Pewnego dnia **NIC** zdecydowało, że pojedzie w podróż dookoła świata. Dotąd nigdzie nie było i *nic* nie widziało (...). Samolot wystartował. Podczas podróży *nic* się nie działo, *nic* nie zakłócało spokojnego lotu. **NIC** miało wrażenie, że miejsce obok niego jest puste, ale gdy przyjrzało się dokładniej, zauważyło, że siedzi tam **NIKT**. **NIC** bardzo

zapra gnęło towarzystwa. Wiercąc się, próbowało zwrócić na siebie uwagę. **NIKT** wyglądał bardzo sympatycznie. Jak nikt inny. „Co by tu powiedzieć na początek?” – zastanawiało się **NIC**, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. **NIKT** ani drgnął. Nic sobie nie robił z tego, że **NIC** miałoby ochotę z nim pogawędzić. Wkrótce wylądowali. **NIKT**, nie zwracając na **NIC** uwagi, wstał, otrzepał kurtkę i zniknął w tłumie pasażerów wychodzących z samolotu. **NIC** rozpaczliwie rozglądało się wokół. **NIKT** się ulotnił! **NIC** wyszło z lotniska. Wcale się nie zdziwiło, że znalazło się w tym samym miejscu, z którego wyruszyło w podróż dookoła świata. Nic tu się właściwie nie zmieniło, ale teraz **NIC** miało nadzieję, że tymi samymi ulicami będzie chodził **NIKT**. Może uda im się znowu spotkać i zaprzyjaźnić? Do dzisiaj **NIC** spaceruje po mieście, jeździ metrem, tramwajami, zna już wszystkie linie autobusowe... Choć dotąd na jego drodze nie stanął **NIKT**, **NIC** nie traci nadziei. A może **NIC** siedziało kiedyś obok was na ławce w parku? Albo mijaliście je w drodze do przedszkola? Nic takiego nie widzieliście? Nie ma w tym właściwie nic dziwnego, bo niby jak mielibyście je zauważyć? Jest to przecież najprawdziwsze **NIC**”.

Maria Marjańska-Czernik: Mogę słówko? Dawno temu napisałam takie króciutkie opowiadanie *Nic*, a potem poznałam dzięki Joasi pewną malarzkę amerykańską. Przyjechała do Polski i koniecznie chciała zabrać ze sobą kogoś w lasy deszczowe, bo chciała tam malować, zależało jej też na tym, żeby ktoś napisał do tych prac tekst dla dzieci. Współpraca w końcu nie doszła do skutku, ale skoro miałam już opowiadanko, zwróciłam się do wydawnictwa z pytaniem, czy gdybym rozbudowała ten tekst, pojawiłaby się szansa na publikację. A teraz od mniej więcej czterech lat myślę o książce opowiadającej o Kimś i o Czymś.

Iwona Smolka: Sądzę, że twoja praca tłumaczki miała ogromny wpływ na to, że mogłaś napisać taką książkę.

Maria Marjańska-Czernik: Oczywiście, nie da się tego ukryć.

Iwona Smolka: Powiedz mi, jak dobierasz książki, które chcesz przetłumaczyć?

Maria Marjańska-Czernik: Wybierałam po prostu teksty, które jakoś mnie zainteresowały, które uważałam za ważne. Często miałam z tym problem, bo niestety było mało literatury czeskiej odpowiadającej gustom naszych wydawców.

Iwona Smolka: Jak to się ma na przykład do szalenie popularnych dobranoczek takich jak *Krecik* czy *Pszczółka Maja*, które tłumaczyłaś w wersji książkowej (*Pszczółka Maja i jej przygody*, *Krecik i mama zajęczków*)?

Maria Marjańska-Czernik: Przełożyłam tylko dwa czy trzy tomiki *Krecika*. Z kolei *Pszczółka Maja* jest w oryginale napisana po niemiecku, ale ja tłumaczyłam ją z czeskiego. Nasza Księgarnia zaproponowała mi również przygotowanie nowego przekładu *Rumcajsa* Václava Čtvrta. Tłumaczyła go już wcześniej – jakieś trzydzieści lat temu – Hanna Kostyrko. Pamiętają państwo, jak ma na imię żona *Rumcajsa* w polskiej wersji językowej? Hanka, chociaż w oryginale jest to *Manka*, co należałoby przetłumaczyć jako *Mańka* albo *Majka*. Więc zasugerowałam wydawcy, że skoro Hanna Kostyrko dała bohaterce na imię Hanka, to może teraz nazwiemy ją *Majka*, *Mańka*, co bardziej odpowiada

oryginałowi. Spotkałam się z odmową, bo przecież wszystkie dzieci znają Rumcajsa i Hankę. W ten sposób Manka pozostała Hanką.

Iwona Smolka: Proszę o przeczytanie fragmentu *Cukierka dla dziadka Tadka*. Dzięki temu zobaczymy, jak dobre książki wybierasz.

Andrzej Ferenc:

„Dziadek Andrzej leniwie pochylił głowę, ziewnął i słodko zamknął najpierw jedno oko, a potem drugie.

– Ale dziś przyjemnie... – wymamrotał jeszcze i zasnął.

Dziadzio Tadzio z Jasiem chwilę siedzieli, machali nogami i mrużyli oczy od słońca. A potem nagle dziadzio Tadzio rozkazał:

– Idziemy.

– Dokąd chcesz iść, dziadziu? – Janek popatrzył ze zdziwieniem.

– Idziemy – powtórzył dziadzio Tadzio i wstał.

Janek spojrzał niepewnie na śpiącego dziadka Andrzeja.

– Dziadku – pociągnął go ostrożnie za rękaw. – Dziadku, wstawaj, dziadzio Tadzio chce już iść.

– Uffff – dziadek Andrzej tylko sapnął przez sen.

Dziadzio Tadzio w tym czasie kierował się już do najbliższej klatki. Jankowi nie pozostało nic innego, jak tylko za nim pobiec. Ale w ostatniej chwili wrócił po mały plecaczek. Nie może przecież zostawić go na ławce. Dziadek Andrzej śpi i jeszcze ktoś mógłby mu plecaczek ukraść. A to byłaby wielka szkoda. Janek dobrze wiedział, że w plecaku jest duża czekolada z orzechami.

Ruszyli ścieżką wijącą się między wybiegami i pawilonami zwierząt. Wychwytywali nieznanne dźwięki, przyjemne i nieprzyjemne zapachy. Milczeli i było im wspaniale. Doszli aż do głównej asfaltowej alejki i tam tłum odwiedzających pociągnął ich za sobą. Janek nawet nie zauważył, kiedy znaleźli się na zewnątrz na parkingu przed ogrodem zoologicznym. Tuż przy ich starej, a dziś nawet trochę brudnej skodzie.

– Dziadziu, co teraz? Nie możemy sami jechać do domu!

– Do domu – przytaknął dziadzio Tadzio.

– No, ja nie wiem... – Janek kręcił głową. – A dziadek Andrzej? Śpi i o niczym nie wie.

– Do domu – z uporem powtórzył dziadzio Tadzio.

Janek wsadził więc rękę do plecaczka i posłusznie wyciągnął kluczyki od samochodu. Dobrze wiedział, jak go otworzyć za pomocą pilota. Skoda dwa razy zapiszczała na powitanie, a jednocześnie na znak, że mogą wsiadać. Wsiadli. Janek na swój fotelik z tytu, a dziadzio Tadzio na miejsce kierowcy. Wyćwiczyonym ruchem, który tak często dawniej wykonywał, wsunął kluczyk w stacyjkę i przekręcił.

Auto powoli ruszyło. Jankowi przyszło na myśl, że będą w niezłych tarapatkach, kiedy przyjadą do domu bez dziadka Andrzeja, jednak szybko się uspokoił. Dziadzio Tadzio bowiem nie skierował się na główną ulicę, tylko na końcu parkingu skręcił w lewo, a potem znowu w lewo, i znowu i tak się tam kręcili jak na karuzeli.

Jasiowi najpierw to się podobało, ale w końcu dostał zawrotów głowy i rozhuśtał mu się zołqdek.

– Zatrzymaj się, dziadziu – poprosił.

– Tak, tak – odezwał się dziadziu, ale jakoś niepewnie. Brzmiało tak właściwie tak, jakby nie wiedział, jak ma się zatrzymać.

Samochód właśnie wjeżdżał w kolejny zakręt na parkingu, gdy przygnał ku nim półtłwy dziadek Andrzej. Rozpięta kurtka dziko na nim powiewała, a w oczach miał prawdziwy lęk. Lęk o ojca i o wnuka.

– Zatrzymaj się! Zatrzymaj się, tato! – wołał do dziadzia Tadzia.

Ten puścił kierownicę i bezradnie rozłożył ręce.

Dziadek Andrzej przyspieszył, dogonił auto, które teraz na szczęście powoli sunęło po parkingu, gwałtownie otworzył prawe przednie drzwi i zdyszany wskoczył na siedzenie pasażera. Potem mocno złapał kierownicę, lewą nogą wymacał hamulec i samochód w końcu się zatrzymał.

Przez chwilę było cicho. Nawet krzyk pawia nie dolatywał. A Janek już się w duchu przygotowywał na to, że krzyżeć będzie dziadek Andrzej. Przecież nie powinni byli zostawić go samego na tej ławce.

– Po raz ostatni poszedłem gdzieś z wami sam – zamiast krzyku usłyszeli smutny i zmęczony głos. – Wcale się Marysi nie dziwię, że nie ma już siły. Was obu powinien pilnować cały oddział policjantów.

Janek zastrzygł uszami. Policjantów? I może jeszcze żeby ich przyprowadzili do domu do mamusi w kajdankach, jak jakichś złodziei?”

Iwona Smolka: Śmiejemy się, ale ta książka dotyczy bardzo poważnych spraw.

Maria Marjańska-Czernik: Tak, ten dziadziu Tadzio to jest oczywiście pradziadek. I jeszcze jedna informacja na temat warsztatu tłumacza: wszystkie imiona w tej opowieści zmieniałam na polskie – oczywiście po uzgodnieniu sprawy z autorką. Często robiłam to w wypadku czeskich przekładów, by nazwiska czy imiona były łatwiejsze do przeczytania i zrozumienia przez małego czytelnika.

Iwona Smolka: A ilustracje? Są oryginalne – czeskie lub słowackie?

Maria Marjańska-Czernik: Nie, ilustracje do książki, której fragment czytał pan Andrzej Ferenc, są autorstwa polskiej graficzki. Tej samej zresztą, która ilustrowała *Wypożyczalnię babć*. Znam ciekawy przypadek, kiedy książka dla dzieci zaczęła się nie od tekstu, ale od obrazów. Mam na myśli przetłumaczony przeze mnie tom *Oskar i Mimi*, autorstwa Anny Neborovej, mieszkającej w Pradze malarki, która długo nie mogła namówić nikogo, żeby napisał tekst do jej prac, więc ona sama to w końcu zrobiła. Tak powstała bardzo piękna książka.

Iwona Smolka: Posłuchajmy teraz przez chwilę fragmentu *Wypożyczalni babć*. To bardzo optymistyczny tekst.

Andrzej Ferenc:

„CZARNA

Wieczorem do drzwi Jasnej zastukała młoda kobieta o ciemnych, kręconych włosach. Była to jej koleżanka, pisarka, która przyszła oddać pożyczoną książkę.

– Jak się masz, Czarna? – powitała ją radośnie Jasna. – Co u ciebie słychać? – I nie czekając na odpowiedź, spytała: – Nie chciałabyś być babcią?

– Pewnie, że bym chciała, ale ja przecież nawet nie mam dzieci... – zdziwiła się Czarna.

– Tym nie musisz się przejmować. Najważniejsze, że chcesz. I że nie pracujesz całymi dniami.

– Sama wiesz, że najlepiej pisze mi się wieczorem. A w ciągu dnia lubię sobie poczytać.

– To być może będziesz mogła czytać też pewnemu małemu chłopcu, jeżeli się dogadamy – powiedziała Jasna i uśmiechnęła się tajemniczo.

Czarna podsunęła sobie krzesło, usiadła i długo rozmawiały.

SIWA

Po wyjściu koleżanki Jasna zbliżyła się do biurka, na którym stał komputer. Uruchomiła go i znalazła w internecie stronę, na której znajdowały się ogłoszenia osób poszukujących pracy. Zajrzała do działu „zaopiekuję się dzieckiem w wieku przedszkolnym”. Potem sięgnęła po telefon i gdzieś zadzwoniła.

– Bardzo proszę przyjść do mnie jutro o jedenastej, to porozmawiamy o szczegółach – powiedziała na zakończenie rozmowy.

Następnego dnia o umówionej porze w drzwiach stanęła starsza, siwa pani niewielkiego wzrostu.

– Proszę wejść i się rozgościć – zaprosiła ją Jasna. – Czy opiekowała się już pani dziećmi? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Oczywiście – powiedziała kobieta. – Wychowałam dwoje własnych, a one też mają już dzieci. Ale moje wnuki podrosły i dawno poszły do szkoły. Mam więc teraz dużo czasu i chciałabym się czymś zająć.

– Myślę, że da się coś zrobić. Proszę chwilkę poczekać. A gdyby chciała pani przypomnieć sobie jakieś bajki dla dzieci, mam tu bogaty księgozbiór.

SPOTKANIE PIERWSZE

Minęło niewiele czasu, gdy ktoś znowu pojawił się w drzwiach. To przyszła Czarna.

– Poznajcie się, drogie panie, a ja tymczasem przygotuję herbatę i ciasteczka – powiedziała Jasna. – Spodziewam się jeszcze kogoś.

Po chwili do mieszkania jeden po drugim weszli Mały, Większy i Duży.

– Dzień dobry – powiedzieli chórem. Gdy jednak zobaczyli w pokoju obce kobiety, odwrócili się na pięcie i ruszyli w stronę drzwi.

– Wchodźcie, wchodźcie, już na was czekamy – powstrzymała ich z uśmiechem Jasna. – Znalazłam dla was babcię.

– Udało się?! – Mały z radości zaczął kręcić się w kółko. – I nie będę już musiał tak długo siedzieć w przedszkolu?

– Nie będziesz – Siwa pani uśmiechnęła się ciepło. – Będę po ciebie przychodziła, a potem pójdziemy razem na plac zabaw... Lubisz tam chodzić, prawda?

– No pewnie, że lubię! Ale rodzice nie pozwalają mi wchodzić na zjeżdżalnię bez opieki – zasmucił się Mały.

– To teraz będziesz już miał opiekę. Zaraz tam pójdziemy. A potem odprowadzę cię do domu i porozmawiam z twoimi rodzicami.

– Ale tata wyjechał i wróci dopiero za dwa dni – zmartwił się. – Będzie tylko mama.

– To porozmawiam z mamą. A teraz wybierz sobie jeszcze jakąś książkę z półki. Połączymy ci, jak już będziemy w domu.

Mały w podskokach podbiegł do regału i długo nie mógł się na żadną zdecydować, w końcu wybrał tę z lokomotywą na okładce.

– No, to już możemy iść, babciu – powiedział, a starsza pani wzięła go za rękę. Pożegnali się ze wszystkimi i wyszli.

W tym czasie Czarna usiadła obok Większego i cicho o czymś rozmawiali. Od czasu do czasu słychać było tylko głośny śmiech chłopca.

– Ale przecież ja już jestem w zerówce i nie bawię się misiami – parsknęła. – Wolę budować z lego. A najbardziej to stację kosmiczną i rakiety!

– I co, będziesz kiedyś kosmonautką, tak? – spytała Czarna. – Zabierzesz mnie ze sobą, jak polecisz w kosmos?

– Może tak, a może nie – zastanawiał się Większy. – Nie wiadomo, czy kapitan się zgodzi, żeby kobiety leciały.

– Ale to przecież ty będziesz kapitanem.

– Jak tak, to zabiorę! – ucieszył się. – A pani nie będzie się bała?

– Z tobą niczego – rzekła z powagą Czarna. – No to co, jedziemy do taty do pracy spytać, czy się zgadza?

– Jedziemy! – zawołał z radością chłopiec.

– Ale weźmiemy sobie jeszcze coś do poczytania na drogę. Lubisz Koziołka Matołka?

– Taaak, on też leciał rakieta na księżyc!!!

Po wyjściu Czarnej z Większym Duży stał naburmuszony w kącie pokoju.

– No i dla mnie nie ma już babci – mruknął pod nosem.

– Mówiłeś coś? – spytała Jasna. – Bo nie dostyszałam.

– Że dla mnie zabrakło babci...

– Tak myślisz? A czy jesteś tutaj sam?

– No nie, jest jeszcze pani, ale... Czy to znaczy że...? Ale przecież pani jest za młoda na babcię – zauważył Duży.

– Na przyszywaną babcię nie jestem za młoda. I nawet nie wiesz, jak bardzo przydałby mi się przyszywany wnuc.

Jasna zsunęła z kolan koc, przykrywający też krzesło, na którym siedziała. Duży ze zdumieniem spostrzegł, że to fotel na kółkach.

– Jak widzisz, nie mogę samodzielnie poruszać się bez wózka inwalidzkiego, ale już się do tego przyzwyczaiłam – powiedziała łagodnie. – Czasem tylko, kiedy chcę wyjść książki z górnych półek, potrzebny jest mi ktoś do pomocy. I co ty na to?

– A jak pada deszcz, to mógłbym pani robić zakupy – zaproponował z entuzjazmem Duży.

– I nie będzie ci szkoda czasu? – spytała z uśmiechem Jasna. – Zamiast grać w piłkę będziesz chodził do sklepu...

– Przecież jak pada deszcz, to i tak nie gramy w piłkę. A ja bym bardzo chciał do pani przychodzić od czasu do czasu. U pani jest tyle książek.

– To co, jesteśmy umówieni? Ale musimy jeszcze porozmawiać z twoimi rodzicami, jak rozwiązać sprawę obiadów dla twojej „rodzinnej” babci, prawda?

SPOTKANIE DRUGIE

Kilka dni później, kiedy Duży wyciągnął z górnej półki książkę dla Jasnej, zauważył gruby tom z brodatym panem w okularach na okładce. Widział już tę postać na pudełku płyty z piosenkami z filmu! Wziął książkę do ręki i zaczął uważnie ją przeglądać.

– Znasz opowieść o panu Kleksie? Może chciałbyś, żeby ci poczytać? – spytała Jasna.

– Przecież ja już umiem czytać – obruszył się Duży. – Sam mogę pani poczytać.

– To umawiamy się tak: ja czytam tobie jeden rozdział, a następny ty czytasz mnie, dobrze? A poza tym miałeś do mnie mówić babciu – przypomniała mu Jasna.

– Super! A wiesz, babciu, że teraz do tej babci, która tak daleko mieszka i mnie nie lubi, przychodzi jedna pani, gotuje jej obiady? Bo moja mama poszła do pracy, a ja i mój starszy brat jemy w szkole.

– To super! – ucieszyła się Jasna. – Ale to nie jest tak, że tamta babcia cię nie lubi. Jest po prostu stara, samotna i schorowana... Spróbuj ją zrozumieć.

– Próbuję. A nawet już trochę rozumiem – Duży z powagą pokiwał głową.

W tym momencie ktoś zapukał i w progu stanęli Czarna z Większym.

– Cześć wam! – powiedzieli jednocześnie. A Większy dodał: – Chcemy zamienić Koziołka Matołka na inną książkę, bo już go przeczytaliśmy.

– Oczywiście, zapraszam – Jasna powitała ich ciepło.

Kiedy szperali na półkach, drzwi znów się otworzyły i weszła starsza, siwa pani z Małym. Mały trajkotał jak najęty:

– A wiesz babciu, dzisiaj w przedszkolu każdy opowiadał, jakie zna książki, a ja znałem najwięcej, a lokomotywę to nawet na pamięć, a teraz chcę, żebyś przeczytała mi jakąś nową bajkę, albo starą, albo...

– Hej, Mały, my też tutaj jesteśmy! – przerwała mu Jasna. – Przywitaj się, zaraz czegoś poszukamy...

– To ja pomogę – zaoferował się Duży.

– I ja, i ja! – Większy nie chciał być gorszy.

– Spokojnie, chłopcy. Na wszystko przyjdzie czas. Teraz napijemy się herbaty, zjemy ciasteczka i porozmawiamy sobie.

Kiedy babcie z młodszymi wnukami już wyszły, a w mieszkaniu zapanowała cisza, Janna, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem, pomyślała: »Chyba dobrze mi poszło«.

I poprosiła Dużego, żeby zmienił napis na drzwiach na taki: WYPOŻYCZALNIA BABĆ”.

Iwona Smolka: Angażowałaś się w akcję „Cała Polska czyta dzieciom”. Przetestowałaś pomysł na wnukach?

Maria Marjańska-Czernik: Tak, pozwalają sobie czytać.

Iwona Smolka: A jakie masz dalsze plany oprócz tego opowiadania o Kimś i Czymś?

Maria Marjańska-Czernik: To pomysł, który tak długo chodzi mi po głowie, że chyba już nigdy nie dojrzeje. Na razie tłumaczę. Poza tym opiekuję się wnukami – jestem babcią pięciorga. Pomagam też córce, Ewie Świerżewskiej, prowadzić portal „Qlturka.pl – dziecko i kultura”. Wymaga to bardzo dużo pracy, bo Ewa zamieszcza tam nie tylko recenzje, wywiady, opowiadania, lecz także informacje o wydarzeniach kulturalnych dla dzieci w Warszawie i w całej Polsce.

Iwona Smolka: Portal „EgoDziecka” to również niesamowita robota. Publikujecie tam wiele informacji o zdrowiu i wychowaniu dziecka, także o nowych książkach, opinie na ich temat...

Maria Marjańska-Czernik: Nie wiem, jak Ewa to wszystko robi, to u nas chyba rodzinne. Jeśli już bierzemy się za coś, to poświęcamy się temu. Ostatnio podała mi do redakcji dwa teksty – dwóch psychologów wypowiedało się na temat tego, czy sześciolatnie dziecko ma iść do pierwszej klasy, czy nie. Jeden z nich twierdził kategorycznie, że tak, bo jest wystarczająco dojrzałe, a drugi, równie kategorycznie, że nie.

Iwona Smolka: Czy masz nadzieję, że kiedyś czasopisma o książkach dla dzieci będą znowu ważne i potrzebne?

Maria Marjańska-Czernik: Zapytaj nie o to, czy będą, bo nie mam wątpliwości, że tak, ale czy będą jeszcze papierowe...

Iwona Smolka: Dziękuję, Maju, dziękuję państwu za przybycie.

Maria Marjańska-Czernik: Ja również państwu dziękuję.

**Jubileusz literacki Marii Marjańskiej-Czernik
odbył się 16.04.2012 roku w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie.**



Poezja wizualna – Beáta Spáčilová, Jannifer Helia de Felice